

ROK 1967 ❄️ **WYDARZENIA, WYDARZENIA, WYDARZENIA, WYDARZENIA, WYDARZENIA**
LUZIE, KULTURA, KULTURA, KULTURA, KULTURA, KULTURA

CZYNIĄC ZADOŚĆ tradycji warto u progu Nowego Roku spojrzeć wstecz, bilansując rzeczywistość 1967. Jaki to był rok?

Nie ulega wątpliwości, że uzyskaliście piękne sukcesy, że możemy poszczycić się niemalym dorobkiem z dziedziny oświaty i kultury. Podniosła się ranga Rzeszowszczyzny w kraju.

Działalność w Rzeszowie dwóch wyższych uczelni przyczyniła się do powstania środowiska naukowego oraz do ożywienia Towarzystwa Przyjaciół Nauki. Tylko w



Koncert w zamku łańcuckim.

Wyższej Szkole Inżynierskiej na wszystkich wydziałach, dziennym i dla pracujących studiuje obecnie 1 200 studentów. Prężne i aktywne było w tym roku środowisko artystów. Awans Orkiestry Symfonicznej do rangi Filharmonii był wyrazem uznania dla tej placówki kulturalnej. W Rzeszowie w tym roku powstał Oddział Związku Literatów, załączek nowego środowiska. Wielkie sukcesy odniósł ruch amatorski i nasi twórcy ludowi. Jednym zdaniem, był to pomyślny rok.

Czego życzyć Wam Drodzy Czytelnicy — wszystkim twórcom i działaczom kultury! Może właśnie tak owocnego Nowego Roku!

Dla przypomnienia — oto niektóre tylko wydarzenia 1967 r.

STYCZEŃ

W Rzeszowie na afiszach po raz pierwszy pojawia się nowa nazwa — Filharmonia im. Artura Malawskiego. Orkiestra Filharmonii wykonała koncert popularny. W Domu Sztuki czynna jest wystawa malarstwa B. Duszy i grafiki A. Jakubowicza.

W Gorlicach odbywa się finał przeglądu zespołów amatorskich w ramach festiwalu kulturalnego Związków Zawodowych.

LUTY

Tadeusz Przywara z Mielca otrzymał I nagrodę za całokształt pracy artystycznej na III Krajowej Wystawie Prac Amatorów — Plastyków Pracowników Państwowych i Społecznych, a Alfred Długosz z Gorlic — wyróżnienie.

W powiatach odbywają się eliminacje konkursu recytatorskiego.

W Centralnym Przeglądzie Regionalnych Zespołów Tanecznych Kapel i Chórów Ludowych w ramach Festiwalu Związków Zawodowych w Radomiu województwo rzeszowskie reprezentuje 12 zespołów. Zespoły rzeszowskie odniosły wielki sukces. Najlepiej powiodło się kapelom ludowym. I miejsce w Festiwalu zajęła kapela WSK Mielec, II — zespół Fabryki Obuwia Sportowego z Krosna, III — kapela Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie. W grupie regionalnego tańca lucoowego II miejsce uzyskał zespół Klubu Związku Zawodowego Kolejarzy z Rzeszowa, III — Rafinerii Nafty w Niegłowicach. W grupie tańca towarzyskiego II miejsce zdobył zespół tańca towarzyskiego z WSK Rzeszów. Zespół Klubu Związku Zawodowego Kolejarzy otrzymał wyróżnienie. Wyróżniono również: Antniego Kleczyńskiego z Bachórze za popularyzację gry na cymbałach oraz Tadeusza Czachura z mieleckiej kapeli za wysoki poziom techniczny.

MARZEC

W Ogólnopolskim Przeglądzie Amatorskich Zespołów Estradowych Rzeszowska „Meluzyna” zdobyła I miejsce ex aequo z zespołem PGR im. J. Marchlewskiego. „Meluzyna” zdobyła tę nagrodę za szopkę satyryczną 1966 roku, której autorem jest Władysław Szwaja.

W Rzepedzi, w powiecie sanockim, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych zorganizowała plener plastyków, w którym wzięło udział 14 artystów.

KWIECIEŃ

Ogłoszone wyniki Ogólnopolskiego Przeglądu Zespołów Instrumentalnych, Wokalnych i Piosenkarzy w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych.



„II Ogólnopolskie Konfrontacje Jesienne”.

wych. Piękny sukces odniosła Anna Zebrowska z rzeszowskiej WSK, zajmując w grupie solistów I miejsce mimo licznej konkurencji i wyrównanego poziomu.

Jerzy Pleśniarowicz został laureatem nagrody związkowej z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru. Jerzy Pleśniarowicz, kierownik literacki i reżyser Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, został wyróżniony nagrodą Centralnej Rady Zw. Zaw. za działalność poświęconą popularyzacji teatru.



Dni Oświaty, Książki i Prasy — spotkanie z interesującymi ludźmi.

Chór „Górskie Echo” z Dukli wyróżniony Srebrnym Laurem 20-lecia PRL z okazji 20-lecia działalności został odznaczony Złotą Odznaką Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych.

W Mielcu wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”.

MAJ

Adolf Jakubowicz został laureatem dorocznej nagrody Komitetu d/s Radia i Telewizji za reportaże społeczno-kulturalne i publicystykę radiową.

Szczególnie uroczysty charakter mają w tym roku Dni Oświaty, Książki i Prasy. W Rzeszowie odbywają się spotkania dziennikarzy z czytelnikami, spotkania z interesującymi ludźmi. Biorą w nich udział popularni dziennikarze z Warszawy — Irena Dziedziec, Mieczysław Rakowski, Edward Dylawerski.

Władysław Boczar — publicysta „Nowin” otrzymał II nagrodę im. J. Bruna. Zagraniczny debiut Jerzego Sienkiewicza na Międzynarodowej Wystawie Karykatury Expo 67 w Montrealu.

CZERWIEC

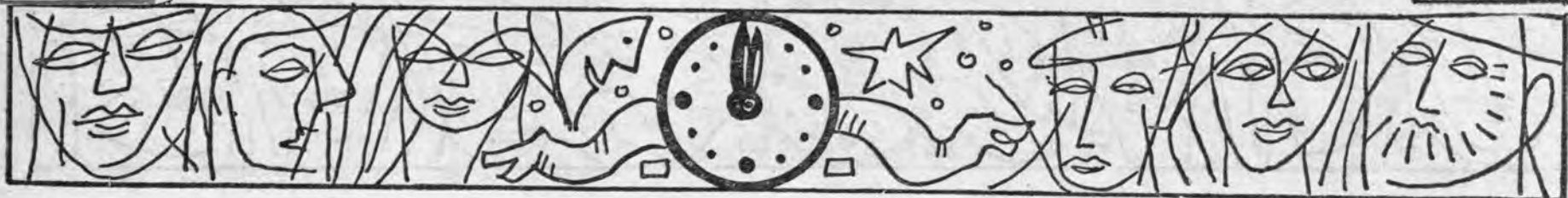
Na II Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Estradowych nagrody indywidualne z Rzeszowa otrzymali: Salomea Gawrońska za scenografię do programu estradowego „Wiat XX wiek” i Barbara Chetko — za estradowe walory jej aktorstwa.

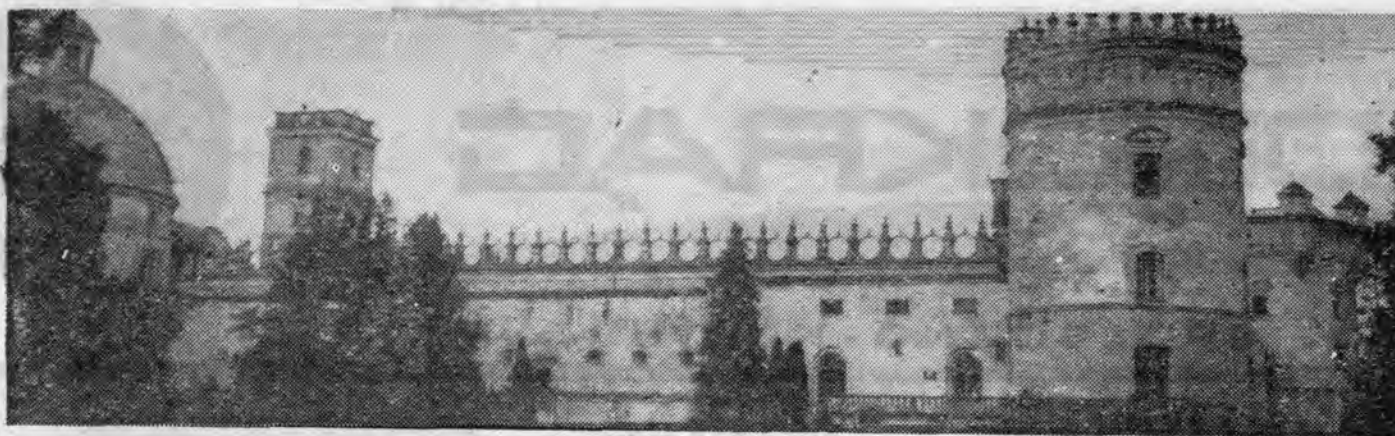
Amatorski Teatr „Meluzyna” przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie obchodzi 20-lecie swej działalności. Zespół otrzymał odznakę „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego”.



Pierwsze zebranie Oddziału Związku Literatów Polskich w Rzeszowie.

(dokończenie na str. 2)





dokończenie ze str. 1



Rzeszowska Szopka w Domu Kultury WSK.

W koncercie Państwowej Filharmonii im. A. Maławskiego wystąpił gościnnie, jako solista Kazimierz Pustelak.

Na terenie powiatu leskiego przebywa ekipa etnografów z Instytutu Sztuk Polskiej Akademii Nauk — która pod kierownictwem prof. E. Reinfusa prowadzi inwentaryzację w zakresie sztuki ludowej.

Z Rzeszowa na mistrzostwa Europy tańca towarzyskiego wyjeżdżają Barbara i Adam Konieczni.

W WDK czynna jest jubileuszowa wystawa dorobku artystycznego „Malarstwo i rzeźba” 96-letniego artysty z Gorlic, Alfreda Długosza.

LIPIEC

Laureatami dorocznej nagrody WRN za upowszechnianie kultury w tym roku zostali: Ireneusz Walczyk, Erwan — aktor Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, Władysław Szwaja — inż. arch. i amator satyryk, Franciszek Burałowski — aktor Państwowego Teatru im. W. Siemaszkowej, Zdzisław Ostrowski — artysta plastyk, Józef Zmuda — działacz ruchu amatorskiego i reżyser teatru przy Domu Kultury w Stalowej Woli, Mieczysław Wieliczko — działacz oświatowy z



„Cyganie z Andaluzji”, Potockiego — Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej.

Jasła, prof. dr Jamka — kierownik Katedry Archeologii UJ w Krakowie, który poświęcił wiele uwagi w swojej pracy naukowej Rzeszowszczyźnie. Jan Różański — badacz kultury ludowej z Przemysła, Damazy Kwiatkowski — reporter TV i CAF, Tadeusz Sokół — dziennikarz i literat. Nagrodę zbiorową przyznano Zarządowi Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli za pracę odczytową.

Koncert symfoniczny pod dyr. Janusza Ambrosa zainaugurował sezon muzyczny w Rzeszowie. Orkiestra Filharmonii wykonała Toccatę i Fugę d-moll J. S. Bacha oraz symfonię nr VI P. Czajkowskiego.

SIERPIEŃ

W pawilonie wystawowym w Krakowie czynna jest wystawa prac rzeszowskich artystów: Cezarego Kotowicza, Zdzisława Ostrowskiego, Mariana Strońskiego i Mariana Ziemskiego.

Zakończono konkurs „Więź bliżej teatru” W II etapie konkursu w woj. rzeszowskim wzięło udział 110 środowisk wiejskich i 11 placówek powiatowych.

Do Zakopanego na Festiwal Ziem Górskich zostały zaproszone regionalne zespoły z Lużnej i Haczowa.

WRZESIEŃ

W leżajskiej Bazylice odbył się pierwszy publiczny koncert organowy. W programie muzyka dawnych mistrzów.



Dni Oświaty Książki i Prasy — kiermasz

PAZDZIERNIK

W niecodziennej scenerii zamku łańcuckiego odbyła się prapremiera komedii „Cyganów z Andaluzji”, Jana Potockiego, w reżyserii St. Bielińskiego.

Na dwutygodniowe tournée do Jugosławii wyjeżdża 70-osobowy zespół pieśni i tańca „Rzeszowiaczy” Zakładowego Domu Kultury mieleckiej WSK.

Odbyło się 150 imprez artystycznych, połączonych z turniejem pt. „50 lat kinematografii radzieckiej”.

Pracownicy Muzeum Okręgowego w Rzeszowie wyjechali do Mińska na zaproszenie Akademii Nauk Białorusi.

VI Ogólnopolski Przegląd Piosenki i muzyki dla amatorów zakończył się wielkim sukcesem sanoczniki — Ewy Gogolewskiej.

Krystyna Świerczewska — publicystka „Widnokręgu” otrzymała nagrodę Klubu Krytyków Teatralnych.

LISTOPAD

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie wielka wystawa rewolucyjnego plakatu radzieckiego ze zbiorów Lwowskiej Galerii Obrazów z udziałem zespołu pracowników naukowych ze Lwowa. Zbiorem rzeszowskiego muzeum ofiarowano unikalny plakat rewolucyjny drukowany w języku polskim.

W II Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Regionalnych znowu duży sukces odniosły zespoły rzeszowskie.

I miejsce zdobyła kapela Huty Szkła z Krosna. II ex aequo z kapelą tarnowskich Azotów — Zespół Zakładowego Domu Kultury przy Zakładach Tworzyw Sztucznych w Pustkowie.

923 prace przygotowało 85 twórców na konkurs pamiątkarstwa regionalnego, zorganizowany przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie wspólnie z Woj. Wydz. Kultury. I nagrodę otrzymała Stanisława Kotowicz z Zarzeczka za adaptację czarnych i czerwonych haftów lasowiackich w serwetach. Nagrodę II przyznano aż 20 twórcom.



Wystawa plakatu radzieckiego w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie.

GRUDZIEŃ

W Rzeszowie otwarto Klub Międzynarodowej Prasy i Książki.

Województwo rzeszowskie znowu odniosło duży sukces w II etapie konkursu „Więź bliżej teatru” i uplasowało się na III miejscu po Gdańsku i Opolu (w II etapie Rzeszowskie zajęło I miejsce).

W WDK otwarto wystawę prac malarzkich członków Klubu Plastyków Amatorów. Wystawa zgromadziła 73 prace 22 twórców.

W galerii „Arkady” w Krakowie czynna jest wystawa malarstwa Edwarda Kiefferlinga z Jarostawia.

W Rzeszowie powstał Oddział Polskiego Związku Literatów. Prezesem został Jerzy Pieśniarowicz.

W Domu Sztuki w Rzeszowie czynna jest Ogólnopolska Wystawa Plastyki „II Ogólnopolskie konfrontacje jesienne”.

IV Krajowy Zjazd Związku Teatrów Amatorskich wysoko ocenił prace rzeszowskiego Oddziału, który zaliczony został do czołowych w kraju.

Zdzisław Kozioł — publicysta „Widnokręgu” został laureatem konkursu Centralnej Rady Związków Zawodowych pt. „Zakład pracy a środowisko”.

Ukazał się kolejny numer Kwartalnika Rzeszowskiego poświęcony 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej z dużym wyborem materiałów, wspomnień, prozy miejscowych działaczy, publicystów, pisarzy związanych z Rzeszowszczyzną.

ROK 1967 LUDZIE, KULTURA, WYDARZENIA, OŚWIATA



Jerzy Madeyski

II Ogólnopolskie Konfrontacje Jesienne

JAKA JEST WSPÓŁCZESNA PLASTYKA POLSKA...

Różne noszą imiona: Konfrontacji, Porównań, Spotkań, Salonów lub po prostu Ogólnopolskich Wystaw Plastyki. W rozmaitych też punktach kraju się odbywają: w Bielsku, Sopocie, Szczecinie, Rzeszowie, Krakowie, Warszawie czy Zielonej Górze. Ich cel jest jednak zawsze ten sam — dokonanie pewnego, wycinkowego choćby podsumowania jakiegoś etapu rozwoju lub jej określonej gałęzi naszej plastyki z jednej strony, a z drugiej tejsze plastyki popularyzacja. Cóż to oznacza oraz jakie nakłada obowiązki na ich organizatorów?

się w zasadzie trzy drogi. Pierwsza, w pewnym sensie najbardziej instruktywna i dydaktyczna zakłada zgromadzenie dzieł według reprezentowanych przez nie orientacji stylistycznych, co przy zachowaniu proporcji ilościowych poszczególnych konwencji daje przejrzysty obraz układu sił działających w sztuce. System ten acz niewątpliwie dobry, ma swoje niemałe mankamenty. Otóż tak pomyślana wystawa staje się po prostu nudna, tym samym zaś, wprowadzając pierwiastek znużenia, nie spełnia postawionych przed nią

kryć plastycznych. Przykładem może być zupełny niemal brak bardzo słabo się rozwijającego impresjonizmu, przygnięcionego zresztą niemal natychmiast przez symbolizm i secesję, przestawienie kolejności infiltracji prądów awangardowych z postimpresjonistycznymi, hamujące rozwój sztuki spustoszenia wojenne i anormalny dla prądów jej rozwoju okres doktryny ścisłego realizmu, jak również wyzwoleny przez nią nagły, nigdzie indziej w tym stopniu nie spotykany zwrot ku abstrakcji i sztuki nie przedstawiającej i bezkrytycznie przyjmowane wielkie ataki tasyzmu i peinture objet, na których kończy się właściwie epoka doganiania, epoka pełnego aplauzu przyjmowania wszystkich nowości z zagranicznym stemplem. Wydaje się też, że owe z kompleksu Kopcuska wyrosłe metody kształtowania się naszej sztuki pozostawiliśmy już definitywnie za sobą. Po nich zaś nastąpił proces jej oczyszczania z balastu zbyt pochopnie przyjętych nowości i powrotów do wypróbowanych i wciąż żywo żyjących konwencji plastycznych, do dawnych kierunków awangardowych i koloryzmu. Leez — co jest rzeczą istotną — do wszystkich tych kierunków jednocześnie. Współczesna plastyka, jej poszukiwania i dążenia wypływają z kilku ongiś antagonistycznych punktów wyjściowych, by w miarę ich konfrontacji i rozwoju zderzyć się, połączyć i skompilować w różnych proporcjach.

Skrystalizowały się też inne tendencje, które można by w najogólniejszych zarysach określić mianem odchodzenia od zjawisk skrajnych, przy jednoczesnym przesunięciu się centrum w kierunku nowoczesności, połączone z wyraźnymi dążeniami idącymi ku doskonaleniu warsztatu i precyzji osiaganego przy jego pomocy wyrazu. To zaś doskonalenie, oczyszczanie, konfrontowanie doprowadziło bądź też doprowadza do większego niż to miało miejsce w pierwszych latach zachłystnięcia się nowoczesnością — zainteresowania problemami treści, do emocjonalnego zaangażowania. Zanikają, bądź też w dalekim odwróceniu znalazły się tak do niedawna częste zamiary zadziwienia formą, wszelkie działania, sugerujące istnienie faktycznie nieobecnych, głębokich podtekstów. Pojawily się, tkwiące początkowo w atmosferze raczej, nawroty do sztuki zaangażowanej i ekspresyjnej, będącej prawdziwym świadectwem swego czasu.

Lecz napięcie emocjonalne nie przybiera już kształtu rozbuchanej i nieuporządkowanej materii z tasyzmu rodem, podobnie jak barokowego w nagromadzeniu środków obrazów — przedmiotów. Język plastyczny uległ uproszczeniu, lecz nie zubożeniu.

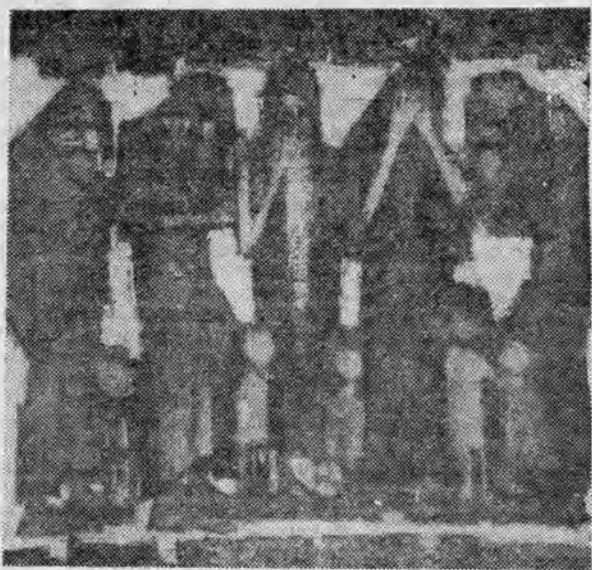
Do tych właśnie wyników doprowadziło m. in. stopniowe zaciepanie się granic między konwencjami, czego skutkiem stało się

nowe dostrzeżenie i rozwijanie tego, co było danej konwencji istotą, nie w latach zamkniętego rozwoju narosłym ozdobnikiem. Więc logika sztuki geometrycznej i napięcia abstrakcji miękkiej, postimpresjonistyczny kult barwy i nastrojowości nadrealizmu, siła ekspresjonizmu i głęboki humanizm sztuki antropocentrycznej, więc zespół wartości, które tkwiąc w sztuce od momentu jej narodzin, zostały wysublimowane w oddzielnych kierunkach przez plastykę ostatniego stulecia. Być może ponowne złączenie wszystkich czynników w jakichś ogólnych rygorach doprowadzi kiedyś do tego, czego Europa jest pozbawiona od półwiecza przeszło, do powstania jakiegoś stylu. Być może. Zbyt wczesnie jednak byłoby o tym mówić.

Tak więc w najogólniejszych zarysach i telegraficznym skrócie przedstawia się sytuacja plastyki polskiej, oczywiście również malarstwa, nazywanego nie bez racji „matką wszystkich sztuk”. W jakim zaś stopniu sytuacja ta odbiła się w rzeszowskiej wystawie? Wy-

ryzmu, którymi wystawa jest wprost nasycona, należy zwrócić uwagę na udane mariaże tego kierunku z prądem geometrii w logicznych transpozycjach pejzazowych Zuzanny Kusek-Kud, kompozycjach Joniaka czy Garbolińskiego. Jak to zresztą zostało powiedziane duch koloryzmu unosi się na wystawie i jego infiltracje spinają wszystkie niemal dzieła specyficznie klamrą walorów estetycznych, czysto piktoralnych, tak różnych od pełnych brutalizmów i agresji twórców rodzących się pod wpływem amerykańskiego pop-artu.

A propos, nie zabrakło również jego, dalece jednak utemperowanych przykładów. Z jego wskazaniem jest jarmarczna w założeniu, właśnie popularna sztuka Liberskiego i fotograficzne wizerunki Gabrysiaka wtopione w tło, będące przykładem prądu wobec pop-artu antagonistycznego, podobnego tylko z nazwy op-artu. W tym też połączeniu na naszym terenie dwu skrajności tkwi jakiś signum temporis, jakiś wyznacznik unifi-



Marian Ziemski — olej.

Na pierwsze miejsce wysuwa się problem zaproszonych artystów, jako że wystawy takie są niemal z reguły imprezami ekskluzywnymi, więc problem wyboru; na drugie zaś zagadnienie ekspozycji, więc sposób podania zgromadzonych dzieł. Problem wyboru..., jakie stosować w nim kryteria i jakie normy wartościowania? Na czoło wysuwa się obiektywna jakość dzieł tworzonych na ogół (gdyż i najlepszym trafiają się pomyłki) przez umieszczonych na liście zaproszonych artystów i ich sława, przyciągająca siła nazwiska. Taki jednak, rygorystyczny wybór samych sław mógłby zwrócić się przeciw organizatorom, jako że wystawa złożona wyłącznie z luminary 1 stopnia nie reprezentowałaby istotnego poziomu naszej plastyki, 2 stopnia w wystawie mogłoby zabraknąć całych, ważnych nurtów, które acz nie wydały jeszcze swych koryfeuszy, liczą się jednak w sztuce i na malarstwo nasze, gdyż o nim będzie tu mowa, oddziałującej.

Należy więc odejść nieco od ścisłej i nieelicznej czołówki, zwracając się do średniego i ponadśredniego poziomu; zdecydowanie knociarce są, rzecz jasna, z góry wyłączeni. W tym też momencie zaczyna się pierwsze kłopoty; przy tym bowiem założeniu lista godnych współudziału w ekspozycji sięga rozmiarów książki telefonicznej. Jednak trzeba spośród nich wybrać, gdyż ukazanie wszystkich na to zasługujących, tym samym zaś doskonale prawdziwie realnego i reprezentatywnego przeglądu jednej choćby tylko spośród licznych dyscyplin plastycznych jest mrzonką. Należy więc z konieczności zastosować metodę pars pro toto, części zamiast całości, w której każde nazwisko mogąc być zastąpione nazwiskiem o zbliżonych założeniach artystycznych i podobnym ciężarze gatunkowym, staje się nazwiskiem — symbolem, reprezentującym poziom i tendencje pewnej grupy podobnie tworzących artystów. Tym samym zaś zespół podobnych reprezentantów nie pretendując do ukazania wszystkiego, co w danej dyscyplinie zostało dokonane, daje jednak konkretny przegląd aktualnego stanu owego gatunku plastycznego.

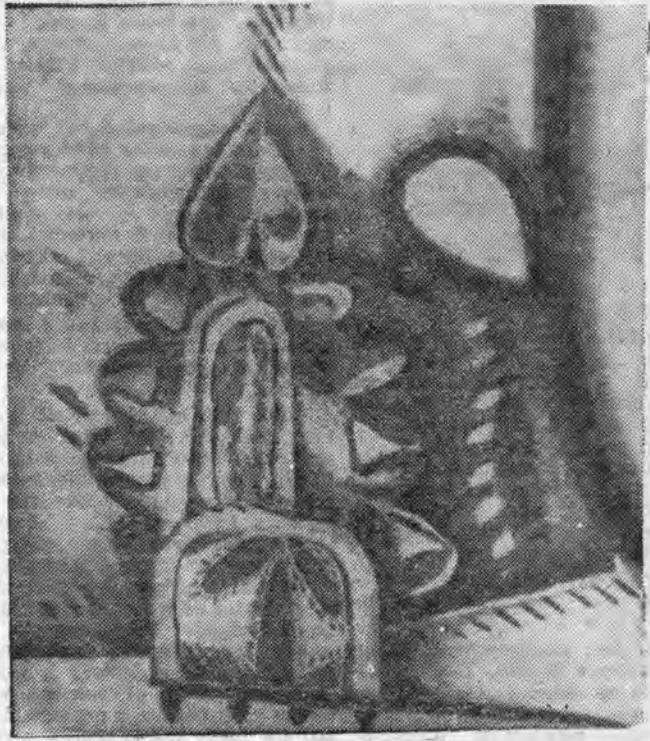
Drugim zagadnieniem, jak to zostało powiedziane, jest ekspozycja. Tu przed organizatorami otwierają

zadań. Drugą jest prezentacja środowisk, więc stworzenie z wystawy ogólnopolskiej czegoś w rodzaju serii mikrowystaw okręgowych. Metoda ta, dając możliwość konfrontacji poziomu i trendów typowych dla poszczególnych pałai kraju, ma również kilka mankamentów: wprowadza atmosferę rywalizacji grupowej, co w odróżnieniu od zawsze korzystnej konkurencji indywidualnej doprowadza nieraz do powstania animozji lub nawet regionalnych szowinizmów, gmatwając jednocześnie w sposób nieprzebiegły główny cel wystawy, jakim jest całościowa prezentacja sztuki kraju. Trzecią i ostatnią wreszcie jest swobodne rozmieszczenie eksponatów, które — ten, by wystawa wypadła możliwie efektownie i solennie. System ten ma walor inny, choć również psychologicznej natury: przedstawia sztukę polską w postaci mieszanki inspiracji i realizacji, w tej więc formie, jaka jest dla niej właściwa. Jako wielki, czasem dysonansowy chorał, w którym każdy głos, niezależnie od swej siły i zabarwienia, ma swe poczesne i równorzędne miejsce.

I tę też metodę zastosowano w II Jesiennych Konfrontacjach w Rzeszowie, z których ma wyłonić się to, co było ich celem: fascynujący obraz polskiego malarstwa.

Jaka jest współczesna plastyka polska? Pytanie to leży u podstaw licznych, często sobie odległych, bądź wręcz sprzecznych wniosków i uogólnień, wśród których jasnym blaskiem lśni w zasadzie jedna tylko, przez nikogo nie kwestionowana prawda: ta, że stała się ona, po raz pierwszy w dziejach naszego kraju, potęgą nie do podważenia, że po raz pierwszy liczy się in extenso w opinii międzynarodowej, i że po raz pierwszy całe jej dyscypliny zdobywają laury w niełatwo swego placet udzielających metropoliach. Lecz równolegle do uznania rangi naszej plastyki postępuje ogólne niemal przekonanie o jej żadnym prawom ni regulami nie określonej różnorodności.

Zjawiskiem różniącym w sposób zasadniczy plastykę polską od sztuki równym ogniem płonącej centrów artystycznych była nierytmiczność jej rozwoju, było ciągłe, niechronologiczne dołączanie do reguł gdzie indziej powstających od-



Stanisław Kucia — olej.

daje się, iż mimo dość szczyptych, rozmiarami sal określonych wymiarów II Jesienne Konfrontacje dają pełną odpowiedź na postawione przed nimi pytanie, na zagadnienie — jakim jest polskie malarstwo współczesne? Z jednym może jedynym zastrzeżeniem: ukazują precyzyjnie wyłącznie jego trzon, nie kładąc zbyt dużego nacisku na tendencje biegunowo skrajne — tradycyjny realizm i awangardowe nowości wszelkiego autoramentu.

Jest więc w pierwszym rzędzie bogato reprezentowany postimpresjonizm, potocznie koloryzmem zwany, w swych wielu wariantach i formach. Wczesny, w pięknie wysmakowanych połączeniach barwnych Mysielskiego i pełnego temperamentu, zbliżonego w gamie do Dufy'ego Gepperta. Przetworzonego pod wpływem nadrealizmu, którego fascynujące przeszerzenie odnajdujemy u Teysseyra i nastrojowej pustce Lama i dynamicznego ekspresjonizmu, wycis kającego — przy typowej dla postimpresjonizmu wyrafinowanej palecie — swe piętno w dziełach Kluzi i Berdyszaka. W swej wersji ozdoby występuje w obrazach Wójcika, w celowo zaś prymitywizowanej w pełnym wyrazu „Wędroweu” Czyża. W końcu, choć dłu go by jeszcze można było wymieniać dobre przykłady kolo-

kujących tendencji polskiej sztuki. Podobnie ma się rzecz z jedynym programowym op-em Jana Ziemskiego. I tu waga optyczna konstrukcji (z którą rasowi op-iser walczą ze wszystkich sił) niweczy w pewnym sensie złudzenie pływającego ruchu, przywodząc na myśl nie tyle lotny op, ile solidną konstrukcję sztuki postkubistycznej. Na koniec „la nouvelle figuration”, ukazana przez Szajnę. Czym w ogóle jest owa „nowa figuracja”, prąd zdobywający coraz to większą popularność we wszystkich regionach naszego globu? Nie tyle receptą formalną, ile filozoficzną, postulującą nawrót do sztuki antropocentrycznej, dokonywany na nie znanych dotychczas zasadach. Szajna wybrał drogę organiczną. Drogę ukazującą istoty ludzkiej poprzez jej wnętrze, skontrastowane z bezduśnym kształtem homunculusa — manekina, tym bardziej dzięki swojemu odczłowieczeniu wstrząsająca i sugestywna w swej formie; szczególnie iż makabryczne treści odbywają się w sielankowym niemal nastroju łagodnych błękitów.

Jak zaś wypadli gospodarze? Trudno jest o tym pisać, tak by nie zostać posądzonym o płaskie schlebianie. Jest bowiem faktem niewątpliwym, że liczebnie szczyt i nie legitymujące się wielkimi tradycjami środowisko podjęło równorzędny dialog z renomowanymi potęgami, wśród których nie zabrakło nazwisk pierwszej wielkości. Artyści Rzeszowa, mieszcząc się znakomicie w głównym nurcie naszego malarstwa, opowiadają się w zasadzie za sztuką wypróbowaną, o znanych i konkretnych podstawach, rozwijając jednak jej zasady i wzbogacając o własny, indywidualny rys. By nie zabrakło w czynie miodu tyłki goryczy, należy stwierdzić, że przy dobrych lub nawet bardzo dobrych założeniach formalnych kompozycji, ich strona techniczna pozostawia nieraz wiele do życzenia.

Te zresztą podobnie jak inne zagadnienia związane z wystawą najlepiej jest dostrzec na miejscu, do czego można tylko gorąco namawiać czytelników powyższej recenzji. Tekstu, którego założeniem jest nie tyle ścisłe omówienie wystawy, ile ułatwienie jej odbioru i pewne rozszerzenie w wiedzy o naszym malarstwie, czego zresztą sama ekspozycja dokona w sposób niewątpliwie bardziej precyzyjny.



Jan Maternicki — olej.

Cecylia Błońska

...A MERKUREMU
ŁUT KULTURY

mieć przede wszystkim na uwadze kupującego, a ten w pierwszym rzędzie zainteresowany jest możliwościami nabycia towaru, który wystawa pojęta na sposób handlowy winna zachwalać, reklamować lub przynajmniej polecać. Inaczej najładniej zaaranżowana, oświetlona i przyozdobiona witryna sklepowa, jest w jakiś sposób sprzeczna z wymogami kultury w handlu. Nawet jeśli przypomina wystawę sztuki.

Bo z tą kulturą handlowania rzeszowski Merkury w nieustannie popada konflikty. Konsumentom, nieodmiennie zwracają uwagę na pleniące się zjawisko urzędowania, zabierające coraz więcej czasu przeznaczanego przecież na ich użytek.

Wielkie misterium prymitywnej, chwilami anachronicznej biurokracji towarzyszy nieodmiennie przyjmowaniu towaru. Nie ma już znaczenia czy są to rzeczywiście kosztowne bele wykwińskiego jedwabiu, lśniących brokatów czy tylko koszyk... popolitych, nie zawsze dobrze wypieczonych „wodnych” bułek lub rogalików do pierwszego śniadania.

Każda gospodyni domu wyjaśni, iż dlatego unika rano zakupu pieczywa w dobrze zaopatrzonej piekarni przy ul. Jagiellońskiej, że nie jest w stanie tracić czasu (i nerwów), gdy następuje detaliczne i skrupulatne odbieranie każdego sztuki pieczywa z osobna.

Metodą od zremycyka do koniczka po zwyczajnym pieczywie obrządek „przyjmowania” objął ciastka.

Skoro już każdy krążek kielbasy i paszteciki wymaga tak drobiazgowego potwierdzenia odbioru, gdy za diabła nie można się przy tym obejść bez trzech arkuszy kalki, ołówka, pieczątki i tym podobnych biurowych pomocy, czy wzorcowy „Lukullus” w śródmieściu nie powinien aby mieć takiej podręcznej kancelarii na podorędziu? Przyznam się, że widok ekspedientki usiłującej, na oczach tasiemkowej kolejki, „rozpisać” tępy ołówek na kawałku pakunkowego papieru, budzi we mnie tak niedobre myśli, iż wolę po prostu nie ryzykować i rezygnuję z zakupu. Zresztą nie tylko ja.

Napór biurokracji na handel detaliczny pozbawia go, przy innych brakach, cech elementarnej kultury, jakiej kupujący ma prawo oczekiwać.

Rozdęte remanenty, inwentaryzacja towarów bez powiadomienia społeczeństwa o przybliżonym bodaj terminie zakończenia tych czynności, wywołujące tyle utyskiwań, na pewno wzbudzą

działanie więcej uwagi ze strony zainteresowanego aparatu kontrolnego.

Chciałabym wiedzieć, na ile pomógł on Merkuremu w upowszechnianiu dobrego kulturalnego obyczaju, który po raz pierwszy bodaj zaobserwowałam w księgarni wydawnictw importowanych „Domu Książki” w Rzeszowie, gdzie wywieszono termin w jakim remanentowe działania zostaną zakończone.

To prawda, że lniana tkanina czy nawet efektowny stylon i inne tekstylia, jakimi dysponuje rzeszowski „Len” nie stanowią artykułów pierwszej potrzeby. Niemniej tam właśnie, po perfumierii koło „Zorzy”, wprowadzono, jakże rzadką u nas, nowość: inwentaryzację przy nieprzerwanej sprzedaży. Bravo!

Interesowałoby mnie również, czy nasz handel detaliczny — w tym wypadku chodzi o branżę spożywczą — zapoznał się dokładnie z protokołami Społecznego Inspektoratu Kontroli WKZZ. Analizując te materiały, mające zarówno na uwadze zdrowie ekspedienta, oszczędność jego zbudnego wysiłku, można z uznaniem komentować wysiłki tego związkowego organu kontrolnego, świadczone w interesie konsumenta, unowocześnionej obsługi, wykorzystywania wszystkich technicznych pomocy. Postęp techniczny bowiem ciągle tak obójtny i pozostawiony na marginesie w sklepowej placówce byłby w praktyce znamienym wykładnikiem kultury.

Cały proces tzw. zaopatrywania detalicznego konsumenta jest znacznie bardziej złożony, rozległy, aniżeli sugeruje to rudymentalny dialog:

— Czy jest to i to??

— Nie. N i m a. Lub: Bierze pan czy nie?

Z tego, z czym spotkał się w sklepie, obywatel wysnuwa wnioski znacznie wybiegające poza podwórko Merkurego. Wystarczy wglądzić się w treść postulatów kierowanych pod adresem radnych i posłów, powtarzających się nieustannie dezyderatów, wszystko jedno czy z przedmiotu, czy z samego centrum miasta, by przekonać się ile z nich właśnie dotyczy lepszych, kulturalniejszych metod pracy w handlu.

Narzekania, żale licznej rzeszy konsumentów powracają, ba, miast wyciszania, nasilają się jak ów sugestywny motyw muzyczny w „Bolero” Ravela.

Miałam z nim zabawną przygodę. W przegrzanym, pod sufity załadowanym najrozmaitszymi towarami sklepie, aż na równiku, w afrykańskiej stolicy Nairobi nie potrafiłam wytłumaczyć czarnolicemu kupcowi, że chciałabym kupić płytę z tym utworem. Ale gdy tylko pokazałam zapisany w notesiku tytuł, bez zwłoki nałożył płytę na podręczny magnetofon, podał mi słuchawkę do cichego przesłuchania. Sam usunął się dyskretnie za kontuar, gdzie przygotował już opakowanie i kwit kasowy.

Dedykuję Merkuremu, wraz z życzeniami przysłowiowego tuła kultury w nowym roku 1968, właśnie „Bolero” Ravela, a równocześnie do pierwszego z rządu zamkniętego sklepu, z wywieszką „odbior towaru” podrzucam drobne, noworoczne upominki.

A że do tego zagadnienia istnieje bogata urozmaicona literatura, więc tym z handlowego pionu, którzy lubią powieść abstrakcyjną ofiarujemy „Sklepy cynamonowe” Brunona Szulca.

Ekspedientkom z domów towarowych — Emila Zoli „Au bon heur des dames” (Wszystko dla pań).

I już dzisiaj wszystkim pod rząd fundujemy bilety na ekranizację „Lalki” Prusa przekonani, że wspaniałe warszawski sklep odżyje tam ze wszystkimi ukrami znakomitego sprężystego personelu.

Wydstawszysy zaś tak rzadki egzemplarz „Savoir-vivre-u” Kamyczka złożymy go naprzód w niezawodne ręce pań z delikatesowego stoiska wędliniarskiego.

A potem, niech przez cały 1968 rok kursuje dalej. Oby ze skutkiem...

Zdzisław Kozioł

GOSPODARCZY

PRZEDE MNĄ TRZY realizacji. Ostatecznie stanęło na tym, że ukończy się ją nie w 1975 roku, lecz w 10 lat później. No, ale plan przestrzennego zagospodarowania Beskidu Niskiego i Bieszczadów nie jest jeszcze zatwierdzony...

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.

Warto tu jednak odnotować, że już w bieżącej 5-letce buduje się odcinek z Komańczy do Jaślika, będący przedłużeniem istniejącej drogi do Tylawy. W latach 1971—75 powstanie kolejny odcinek z Komańczy do Cisnej, wiążąc drogą karpacką z obwodnicą bieszczadzką; mniej więcej połowę terenów górskich połączy nowoczesny system dróg. Do roku 1980 otrzymamy niewielki, 13-kilometrowy odcinek, który skróci drogę z Krynicy, przepełnionego kurortu, do Wysowej — nie wykorzystanej miejscowości uzdrowskiej. Na lata 1981—85 pozostawiono najtrudniejszą część trasy, przebiegającą m. in. obok wspomnianego zbiornika w Krępcy. Do realizacji pozostanie jeszcze połączenie z granicą radziecką. Karpacka droga wydaje się przedsięwzięciem realnym, na pewno potrzebnym, ekonomicznie i społecznie uzasadnionym.



rym. J. Sienkiewicz

Pierwszy krok...

(Wielka oaza II)

KATECHIZM REGIONU

znajduje się Przysłop, z którego roztacza się najładniejsza panorama na wschodnie Karpaty. Słowem — jak mówią entuzjasci — takich warunków naturalnych ze świecą szukać w Europie. Niektóre zamierzenia wzbudzają jednak wątpliwości tych, którzy turystykę wiążą z pewnym wysiłkiem fizycznym, z bezpośrednim obcowaniem z nieskazaną przyrodą. Namietnie opo-
nują przeciwko kolejce linowej, m. in. dlatego, by nie zakłócała spokoju. Zdaniem ekonomistów natomiast, bez kolejki „kombinat sportowy” będzie mniej rentowny. Nie sądzę, by zastrzeżenia zwolenników „czystej” turystyki były zrodzone wyłącznie z ich przewrażliwienia; wyciąg narciarski jest konieczny, ale sprawę kolejki warto uważnie przestudiować. Chodzi mi o słuszną koncepcję stworzenia w Bieszczadach „parku ciszy”; w określonej partii gór obowiązywałby zakaz hałasowania, włączania radiowych odbiorników tranzystorowych, wjeżdżania samochodami itp. Obok Bieszczadzkiego Parku Narodowego, wschodnio-beskidzkiego parku krajoznawczego, „park ciszy” jest także potrzebny w tych górach.

Siódmym z kolei pasmem jest rejon Soliny i Myczkowiec o charakterze uzdrowiskowo-wypoczynkowo-turystycznym z dużymi perspektywami na przyszłość; plan wymienia kilka miejscowości uzdrowiskowych. Ostatnimi pasmami są: Stuposiany — Wetlina o przeznaczeniu wypoczynkowo-turystycznym oraz Czarna — Ustrzyki Dolne z ośrodkami klimatycznymi, domami wczasowymi i uzdrowiskami.

Jak już pisałem, cały ten obszar wynosi ponad 300 tys. ha, na którym według polskiej normy może jednorazowo przebywać 600 tys. turystów, wczasowiczów i kuracjuszy. Plan zakłada, że baza noclegowa powinna liczyć 250 tys. łóżek, w tym 21 tys.

w sanatoriach i domach zdrowia oraz 30 tys. w pensjonatach. Do 1985 roku przewiduje się 8,6 tys. miejsc w sanatoriach. Czy te zamierzenia są realne?

Przewiduje się wprawdzie pensjonaty prywatne, czyli po prostu większe domy, które pobudują mieszkańcy, względnie nowi osadnicy. To jedyna szansa zapewnienia turystom bazy noclegowej, chociażby dlatego, że budowa hoteli-kolosów jest i kosztowna, i chyba niecelowa w górach. Sprawę prywatnych pensjonatów wysuwa się jednak nieśmiało. Nie sądzę, by wchodziły tu w grę wyłącznie zastrzeżenia, jakie w pewnych środowiskach wywołały np. restauracje agencyjne. Chodzi tu o koncepcję osadnictwa bieszczadzkiego.

Na interesującym nas obszarze żyło przed wojną ćwierć miliona ludzi, a obecnie — 153 tys. Nie przewiduje się osiągnięcia przedwojennego stanu, ale bez osadnictwa w rozsądnych granicach nie zagospodaruje się Bieszczadów. Powinno to być chyba dwójakiego charakteru akcją osadniczą. Rolnik na kilkunastu hektarach gospodarstwie, trudniący się hodowlą i uprawą, nie będzie obsługiwał turystów. Funkcję tę podejmą chętniej właściciele mniejszych gospodarstw, dysponujący jeszcze pozarolniczymi umiejętnościami, np. różnego rodzaju rzemieślnicy. Chyba w tej kategorii ludzi trzeba dopatrywać się przyszłych właścicieli pensjonatów. Dotychczas bieszczadzcy osadnicy psychologicznie są raczej nie przygotowani do społeczno-ekonomicznej roli Bieszczadów.

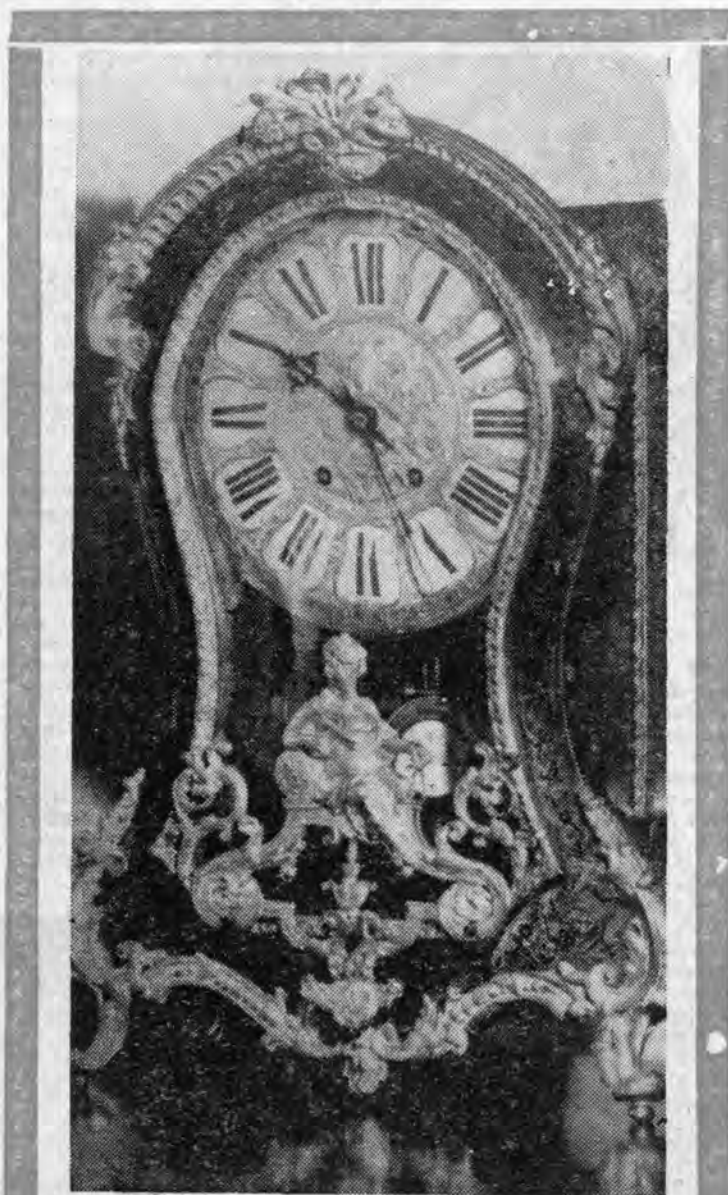
Wyłania się jeszcze kwestia urbanizacji Bieszczadów. Temat to oddzielny, ale trzeba już teraz uderzyć w dzwon alarmowy; miejscowe budownictwo nie czyni zadość wymogom, jakie mu stawia przyroda; szpeci ono krajobraz zamiast jego piękno wzbogacać.

Zarzut ten dotyczy i chłopskich zabudowań jakże często z gnojowiskiem od frontu, i niejednego budynku użyteczności publicznej. Po zatwierdzeniu planu górskiego Prez. WRN ogłosi konkursy otwarte na budowę poszczególnych układów pasmowych. Przed architektami stanie trudne zadanie: pogodzić względy funkcjonalne z krajobrazem i przyrodą. Dla bieszczadzkiego budownictwa potrzebny jest bieszczadzki styl.

Wiele jest więc kwestii, jeśli nie spornych, to otwartych, wymagających bądź badań i studiów, bądź już decyzji. Wymieniłem jeszcze jedną: autorzy planu dają prymat ochronie przyrody, ale nie lekceważą względów gospodarczych, a więc wykorzystania miejscowych surowców. Nie będę się rozpisywał o minerałach, zwłaszcza łupkach bitumicznych, które mają zrewolucjonizować budownictwo. Góry to baza surowcowa dla przemysłu drzewnego; jest już kombinat w Rzepedzi, planuje się zbudowanie jeszcze dwóch — w Ustianowej i gdzieś w okolicach Krosna lub Jasła. Pewien profesor oświadczył: „Ustianowa mnie przeraża, ten kombinat to klęska dla bieszczadzkiej przyrody”. Kto ma rację?

Podobnych kwestii mógłbym przytoczyć więcej. Jedno jest pewne: plan przestrzennego zagospodarowania gór, to wielki sukces naszych specjalistów, ale stanowi on tylko wstępny etap wielkich poczynań. Plan nazwałbym gospodarczym katechizmem regionu, ukazującym cel, mobilizującym siły miejscowe dla rozwoju swej wsi, gromady, miasta, powiatu. Plan pozwoli wyzwoleć inicjatywę społeczną. I chociaż niejedno z zamierzeń jest w czasie odległe, ale dla ich urzeczywistnienia trzeba chronić miejscowy skarb — przyrodę.

ZDZISŁAW KOZIOŁ



Fot. Łokaj

DOSIEGO ROKU!

Aleksander Żyga

LITERACKIE POKŁOSIE DZIKOWSKIEJ TRAGEDII

Aryokratyczny ród Tarnowskich rezydujący od wieków w Dzikowie nieźle zasłużył się w historii szlacheckiej Rzeczypospolitej. Początek jego zasługom dały rycerskie czyny ich przodka, hetmana Jana Tarnowskiego, zwycięzcy spod Obertyna, pamiętnego jeszcze tym, że z armat zdobytych na Włochach kazał odlać dzwon Zygmuntowi. Chwały temu rodowi przysporzył także, tym razem w dziedzinie kulturalnej, na przełomie XVIII i XIX wieku Jan Feliks Tarnowski, jeden z najbardziej inteligentnych członków rodu Tarnowskich. Ożeniony z Walerią ze Stronowskich uczynił Dzików centrum kultury polskiej w okresie porobiorowym, godnym stanąć obok Puław i Sieniawy Czartoryskich. Mając zainteresowania naukowe i bibliofilskie Jan Feliks stał się twórcą obfitującej w białe kruki biblioteki dzikowskiej, jego zaś żona Waleria dała początek słynnej dzikowskiej galerii obrazów.

Na tych dwojgu skończył się właściwie okres chwały Tarnowskich i ich zasług dla kraju. Synowie i wnuki Feliksa i Walerii nie zdołali już dorównać im w pracy dla ojczyzny. Historia szła nieubłaganie naprzód. Dzików zaś tylko siłą inercji i zdobytej legendy trwał dalej w swojej świetności. Aby te legendy podtrzymać, protegowani Tarnowskich próbowali nawet stworzyć coś w rodzaju arystokratycznego folkloru na cześć swych dobrodziejów, który przytacza Szymon Matusiak w swoich artykułach o Tarnowskich. Podczas gdy historia pedziła nieubłaganie naprzód, spychała właścicieli Dzikowa na plan dalszy i odgradzała od społeczeństwa, pod boki re-

zydencji Tarnowskich wyrastała potęgająca się z dnia na dzień groźna dla nich siła społeczna: miejscowy ruch ludowy. Optycznym jej symbolem wystawiony na rynku w Tarnobrzegu pomnik Bartosza Głowackiego. Dała ona też szybko znać o sobie w sławetnej „republiki tarnobrzelskiej”. Przepaść klasowa pomiędzy hrabiemi Tarnowskimi a miejscowym chłopstwem przybrała na swej głębokości w okresie międzywojennym w formie strajków chłopskich i robotników folwarcznych w hrabiowskich majątkach, o których wspomina niejednokrotnie w swoich opowiadaniach i powieściach wywodzący się stąd Stanisław Piątek. Odtąd w okolicach Dzikowa rozbrzmiewał przy każdej nadarzącej się okazji napawający trwogą tutejszych hrabiów ludowy hymn rewolucyjny: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...”

Oczywiście w takiej sytuacji zgro madzone potem i krwią pańszczyźnianego chłopca zbiory Tarnowskich stały zamknięte na cztery spusty. Rzadko tylko dopuszczano do nich uczonych z Tarnowskimi zaprzyjaźnionych, spowinowacanych bądź będących u nich w łaskach. W przeciwieństwie do swych przodków, którzy kupowali i gromadzili książki i obrazy, wnukowie sprzedawali je i to za granicę. Doszło do tego, że z beczennych iluminowanych pergaminów dzikowskich miejscowe babki wycinały inicjały, które służyły im za wzory do haftów.

Znaleźli się jednak w okresie międzywojennym u nas publicyści i uczeni, którym na sercu leżały losy zgromadzonych w prywatnych zbiorach dóbr kultury i sztuki.

Próbowali protestować przeciw tak haniebnej marnotrawieniu dziedzictwa kulturalnego, zwłaszcza gdy do opinii publicznej przeniknęła wieść o sprzedaży przez Tarnowskich słynnego „Lisowczyka”, który powędrował do Ameryki.

Punktem kulminacyjnym, który rozjarzył i zjednoczył sporadyczne głosy przeciw Tarnowskim w Dzikowie, stał się rok 1927 kiedy w nocy z 20 na 21 grudnia w zamku dzikowskim wybuchł groźny pożar, a pastwą jego płomieni padła biblioteka i galeria obrazów. Kiedy pod nieobecność właścicieli z personelu nikt nie pospieszył na ratunek beczennych dóbr kultury, zrobili to miejscowi chłopcy i robotnicy, zniechęceni przez Tarnowskich. Na skutek zapadnięcia się powalę śledmiu z nich znalazło śmierć bohaterką w płomieniach. Ratując skarby swych nieprzyjaciół i wrogów, życie swoje złożyli w ofierze.

Pożar dzikowski rozpętał szeroką kampanię przeciwko i tak już znienawidzonemu rodowi Tarnowskich, która objęła także i innych właścicieli zbiorów bibliotecznych, nie zawsze należycie zabezpieczonych.

W owej kampanii publicystycznej przeciw Tarnowskim jedno z miejsc centralnych zajmuje wystąpienie Jana Wiktora. Radykalny ten pisarz, aczkolwiek przeciwny wszelkiej rewolucji — na długo przed pożarem Dzikowa zwracał uwagę opinii publicznej na poczynań Tarnowskich i w artykułach na łamach „Wiadomości Literackich” ostrzegał, aby zapobiec sprzedawaniu przez nich dzieł sztuki za granicę; one bowiem powinny stać się własnością całego naro-

du, który na nie pracował. „Tragedia dzikowska głośnym echem odbiła się w kraju i poza granicami. I głębokie współczucie dla właściciela z powodu ogromnych strat” — powtarzał Wiktor powtarzając. W sprawie oficjalnej w styczniu 1928 roku w kilka tygodni po pożarze, dodając: „Istotnie strata jest ogromna i niepowetowana. Zamek w Dzikowie był niejako muzeum pamiętek narodowych, zbieranych skrzętnie przez czcigodne ręce dawnych czasów. Kryły się tutaj strzępy polskiej historii, świadectwa wielkich poczynań i cichej pracy, dorobek ducha, pomniki natchnień, święte pamiątki. Kwitła legenda o tym zamku jako o zaklętym skarbie”. Poprzez pryzmat dziecinnych i młodzieńczych wspomnień pisarz ujawnił nie wszystkim znany stosunek Tarnowskich do tych, którzy palali żądzą już nie korzystania, ale ujrzenia zbiorów dzikowskich. „Ileż przez Wisłę przejeżdżałem tędy — wspominał — wybłyskiwały dachy Sandomierza i bliżej mury zamku w Dzikowie jakby pozdrowienie, które mu odpowiadało serce. Wynurzały się i ginęły tajemniczo, niedostępne, zamknięte, jak duma tych rodów, zimna, martwa.

Przed laty jako ucniak kilka mil gnałem pod Sandomierz. Stałem na brzegu. Kordon zamykał. Zoldak obcy bronił wstępu. Patrzyłem na stary gród odbity w Wisłę i w duszy niosłem obraz wspomnienia podziwu i uwielbienia. Stąd szło się ścieżką do Dzikowa. Od bramy służący brutalnie

(Ciąg dalszy na str. 8)



W roku, od którego zaczyna się to moje opowiadanie, służyłem na kolei jako zawiadowca przystanku na jednej z naszych południowo-zachodnich linii. Jak mi się tam na tej stacji żyło, wesoło czy nudnie, może pan sobie wyobrazić: w promieniu 20 wiorst nie było ani jednego osiedla ludzkiego, ani jednej kobiety, ani jednego porządnego szynku, a ja wtedy byłem młody, mocny, gorący, narwany i głupi. Jedyną rozrywką mogły być tylko okna pociągów pasażerskich i ohydna wódka, zaprawiana przez Żyda szalejem. Mignie czasami w oknie wagonu kobieca główka, a ty, człowieku, stoisz jak stęp, nawet nie odczujesz i nie spojrzysz tak długo, aż pociąg zamieni się w ledwo dostrzegalny punkcik, albo wypijesz, ile wlezie ohydnej wódki, na wszystko zubożniejsz i nie odczuwasz wcale, jak biegną długie godziny i dni. Na mnie, urodzonego na północy, step działał jak widok opuszczonego tatarskiego cmentarzyska — step z tym swoim uroczystym spokojem — monotonne brzęczenie świerszczy, przezroczyście światło księżycowe, przed którym nie sposób się schować — ściał na mnie ponurą żalost. Zimą znów nie skazitelną biel stepu, chłodna dal, długie noce i wycie wilków — przytłaczały mnie jak ciężki koszar.

Na przystanku mieszkało nas kilkoro: ja z żoną, głuchy skrofaliczny telegrafista i trzech stróżów. Mój pomocnik, młody gruzlik, jeździł na leczenie do miasta, gdzie przebywał całymi miesiącami, przekazując mi swoje obowiązki wraz z prawem korzystania z jego pensji. Dzieci nie miałem, gości nie ściągnąłbym najwspanialszym nawet przyjęciem, sam zaś mogłem jeździć w odwiedziny tylko do kolegów na tej samej linii, a i to nie częściej niż raz na miesiąc. W ogóle trudno sobie wyobrazić nudniejsze życie.

Pamiętam witaliśmy z żoną Nowy Rok. Siedzieliśmy sobie przy stole, kończyliśmy leniwie kolację i słuchaliśmy, jak w sąsiednim pokoju monotonnie postukiwał na swoim aparacie głuchy telegrafista. Wypiłem już chyba z pięć kieliszków wódki z szalejem i wsparłem ościętą głowę na pięści, rozmyślałem o swojej nieprzewidywanej nudzie, a żona siedziała obok i nie odrywała oczu od mojej twarzy. Patrzyła na mnie tak, jak patrzeć może tylko kobieta, która poza przystojnym mężem świata nie widzi. Kochała mnie do szaleństwa, niewolniczo i to nie tylko moją urodę czy duszę, ale i moje grzechy, żość i znudzenie, nawet moje okrucieństwo, kiedy w pijackim zamroczeniu, nie wiedząc na kim żość wywrzeć, dręczyłem ją wymówkami.

Nie zważając na nudę, która mnie zżerała, przygotowy-

waliśmy się do uroczystego powitania Nowego Roku i oczekiwaliśmy północy z pewną niecierpliwością. Mieliliśmy właśnie w zapasie dwie butelki szampana, najlepszej marki z etykietą Veuve-Cliquot, skarb ten zdobyłem jeszcze na jesieni, wygrawszy zakład z naczelnikiem odcinka, u którego tego popijaliśmy na chrzcinach. Zdarza się, że podczas lekcji matematyki, gdy nawet powietrze zastęga od nudy, do klasy wleci przez otwarte okno motyl; malcy poruszają wtedy głowami i zaczynają śledzić lot z takim zaciekawieniem, jak gdyby przed sobą widzieli nie motyla, ale coś przeciwnego i niespotykanego; podobnie ucieszył nas ten całkiem przypadkowo odnaleziony szampan. Milczeliśmy i spoglądaliśmy to na zegar, to na butelki.

Kiedy duża wskazówka przypomniła nam, że jest za pięć dwunasta, zabrałem się powoli do odkorkowania butelki. Nie wiem, czy osłabłem tak od wódki, czy też butelka była zanadto wilgotna, pamiętam tylko, że gdy korek z hukiem wyrzucił pod sufit, moja butelka wysliznęła mi się z rąk i upadła na podłogę. Wylało się trochę wina, najwyżej szklanka, gdyż zdążyłem butelkę schwytać i za-

przyklejone — nieruchomo wisiaty w górze, tuż nad przystankiem. Jakby na coś czekały. Przez obłoki ledwie sączyło się przezryste światło. Delikatnie, jakby bojąc się kogoś urazić, czy zawstydić, dotykało białej ziemi i oświetlało wszystko dokoła; zasypane śnieżne, nasyp... Było cicho.

Siedziałem nasypem przed siebie.

„Głupia kobieta! — myślałem patrząc na niebo usiane migoczącymi gwiazdami. — Przypuśćmy nawet, że czasami takie znaki mówią prawdę, to co złego może nas spotkać? Te nieszczęścia, których doświadczyliśmy i te, których teraz doznajemy, są tak wielkie, że trudno sobie wyobrazić coś gorszego. Jakież jeszcze zło można wyrzucić rybce, która została złowiona, usmażona i w sosie podana na stół?”

Wysoka, pokryta szronem topola ukazała się w błękitnej mgłę niby wielkolud przyodziany w całun. Spojrzała na mnie surowo, posepnie; mogło się zdawać, że tak samo jak ja, odczuwa samotność. Długo się jej przypatrywałem.

Moja młodość, nie warta szelagi, poszła na marne, jak porzucony niedopalek — rozmyślałem dalej. — Rodzice u-



Rys. E. Kieferling

tknąć palcem jej pieniące się gardło.

Z Nowym Rokiem — szczęścia pomyślności — powiedziałem napełniając dwie szklanki. — Pij!

Żona wzięła swoją szklankę i wlepiła we mnie zatrużone oczy. Jej twarz pobladła wyrażała przestach.

— Upuścisz butelkę? — zapytała.

— Tak, upuścisz. No i co z tego?

— Niedobrze — powiedziała odstawiając szklankę i jeszcze bardziej blednąc. — Niedobry znak. To znaczy, że w tym roku spotka nas coś złego.

— Ależ z ciebie baba! — burknąłem. — Rozsądna kobieta, a bredzi jak stara niańka. Pij!

— Daj Boże, żebym bredziła, ale... na pewno coś się stanie. Zobaczysz!

Nawet nie tknęła szklanki, odeszła na bok i zamysliła się. Powiedziała kilka oklepnych frazesów na temat przesądów, wypiłem pół butelki, położyłem z kąta w kąt i w końcu wyszedłem z domu.

Na dworze była już cicha, mroźna noc. W całym swym pięknie, chłodnym i surowym nadeszła cicha, mroźna noc. Księżyc i dwa białe, puszyste obłoki, niby

marli, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, z gimnazjum mnie wyrzucano. Pochodzę z rodzinny szlacheckiej, ale nie dali mi ani wychowania, ani wykształcenia, a wiadomości zebrałem do głowy nie więcej niż pierwszy lepszy smarowóz. Nie mam żadnego oparcia ani rodziny, ani przyjaciół, ani głębszym zainteresowań. Nie odznaczam się żadnymi uzdolnieniami i w pełni sił doszedłem zaledwie do tego, że osiągnąłem stanowisko zawiadowcy marnego przystanku. Oprócz niepowodzeń i niedostatków, nic w życiu nie zaznałem. Cóż jeszcze złego może mi się przydarzyć?

Z daleka zamigotały czerwone światła. Nadjeżdżał pociąg. Jego łoskotu słuchał uspiiony step. Oparnęło mnie rozgorzenie i zdawało mi się, że myślę głośno, a jęk drutów telegraficznych i dudnienie pociągu przekazują moje myśli.

„Cóż złego może się przydarzyć? Strata żony? — pytałem sam siebie. — I to nie straszne. Ożeniłem się z nią jako niemal chłopak. Teraz jestem silny, młody jeszcze, a ona zaniedbała się, zestarzała, od stóp do głów pograżona w przesądach. Co może być ponętnego w jej kłitwej miłości, w zapadłej pierśi, w apatycznym wzroku? Muszę jakoś ją znosić, ale jej

nie kocham. Cóż więc może mi się przydarzyć? Moja młodość przepada bezpowrotnie. Kobiety z okien wagonów migają tylko przede mną niby spadające gwiazdy. Miłości nie było i nie ma. Marnuje się moja męskość, moja odwaga, serdeczność... Wszystko marnuje się jak śmieci, a to co stanowi moje bogactwo tutaj, w stepie, nie jest warte złamanego szelaga.

Pociąg przeleciał łoskotem obok mnie i obojętnie zaświecił czerwienią okien. Widziałem, jak zatrzymał się przy zielonych sygnalach, postął minutę i potoczył się dalej. Przeszedłszy ze dwie wiorsty, zawrócił. Nie opuszczają mnie posępne myśli. I chociaż byłem przepętniony goryczą, to jednak przypominam sobie, że jakbym się właśnie starał, by moje myśli były takie posępne i mroczne. Czy wiecie, że ludzie ograniczeni i ambitni miewają chwile, kiedy świadomość, że są nieszczęśliwi, sprawia im pewnego rodzaju zadowolenie, sami siebie kielują własnymi cierpieniami. Wiele było w moich myślach prawdy, ale też wiele niedoręczności i jakiejś poszczeniacku wyzywającej buty tkwiło w moim pytaniu: „Cóż jeszcze złego może mi się przydarzyć?”

„Tak, co się przydarzy? — zadawałem sobie to pytanie, gdy już wracałem do domu. Zdaje mi się, że przeżyłem już wszystko. I chorowałem, i pieniądze traciłem, nagany od zwierzchników mnie spotykają prawie codziennie, nie dojadam, a raz nawet wściekły wilk wpadł kiedyś na podwórko stacyjny. Cóż jeszcze? Znieważano mnie, poniżano..., a i ja nieraz innych znieważałem. Tyle, że nigdy nie byłem przestępcą, ale do przestępstwa zdaje się nie jestem zdolny, chociaż sądów się nie boję”.

Dwa obłoczki odsunęły się od księżycy. Stały teraz w pewnej odległości, i jakby szepotały do siebie coś, czego księżyc nie powinien wiedzieć. Lekki powiew przebiegł po stepie, niosąc przygłuszony łoskot oddalającego się pociągu.

Na progu spotkała mnie żona. Oczy jej śmiały się wesoło, z twarzy było zadowolenie.

— Powiem ci nowinę! — szepnęła. — Idź prędzej do swego pokoju i włoż nową surdut. Mamy gościa.

— Jakiego gościa?

— Tym pociągiem przyjechała ciocia, Natalia Pietrowna.

— Jaka Natalia Pietrowna? — Żona mojego wuja Siemiona Fiodorycza. Ty jej nie znasz. Zobaczysz, jaka dobra i miła...

Prawdopodobnie musiałem się zachmurzyć, bo żona zaraz przybrała poważną minę i zaczęła szeptać w pośpiechu.

— Oczywiście, to dosyć dziwne, że ona akurat teraz do nas przyjechała, ale ty, Mikołaju, nie gniewaj się, bądź wyrozumiały. Ona przecież jest nieszczęśliwa. Wuj Siemion Fiodorycz to złośnik i despota, trudno z nim wytrzymać. Ona mówi, że zabawi u nas najwyżej ze trzy dni, dopóki nie otrzyma listu od swego brata.

Długo jeszcze szepotała mi jakieś brednie o wujaszku despotcie, o słabostkach ludzkich w ogóle i słabostkach młodych żon w szczególności, o naszym obowiązku udzielania schronienia wszystkim, na wet największym grzesznikom i tak dalej. Nic z tego absolutnie nie rozumiejąc, włożyłem nową surdut i poszedłem zawrzeć znajomość z „ciocią”.

Przy stole siedziała mała kobietka o wielkich czarnych oczach. Mój stół, szare ściany, toporna otomana... zdawało mi się, że chyba wszystko aż do najmniejszego pyłku odmłodziła i poweselała z chwilą przybycia tej osoby, wnoszącej nowość i młodość, jakiś zapach urzekający, istoty pięknej i grzesznej zarazem. A że

było w niej coś grzesznego, dał mi to wyczuć jej uśmiech, woń perfum, pewien szczególny sposób przestawiania spojrzem rzesami, wreszcie ton, jakim zwracała się do mojej żony — kobiety statecznej... Nie musiała opowiadać mi, że uciekla od męża, że mąż jest stary i despotyczny, a ona dobra i wesoła. Zrozumiałem wszystko od pierwszego spojrzenia, bo wątpię, czy są jeszcze w Europie mężczyźni, co nie potrafiliby od pierwszego spojrzenia rozpoznać kobiety wiadomego temperamentu.

— Nie wiedziałam, że mam tak dużego siostrzeńca — odezwała się ciocia, podając mi rękę i uśmiechając się.

— Nie wiedziałem, że mam taką ładną ciocię — odpowiedziałem.

Na nowo usiedliśmy do kolacji. Z hukiem wyrzucił korek drugiej butelki szampana i ciocia wypita duszkiem pół szklanki, a kiedy żona wyszła na chwilę, ciocia już się nie ceremonizowała i wychyliła całą szklankę. Upiłem się winem i obecnością kobiety. Czy pamięta pan ten romans cygański:

„Oczy czarne i ogromne, Tajemnicze, nieprzytomne”

Nie pamiętam, co się potem stało. Kto chciałby wiedzieć, jak zaczyna się miłość, niech się rozczytuje w rozwekłych opowieściach. Ja tam powiem krótko, słowami, tego samego banalnego romansu:

„Pokochałem was w zły dla siebie czas...”

Wszystko diabli wzięli, wszystko poleciało z góry na łeb. Przypomina mi się tylko straszliwy, wściekły wichur, który zakreślił mną jak piórkiem. Długo, długo wirował, aż stał z powierzchni ziemi i żonę, i ciocię, i moje siły. Ze stepowej stacyjki, jak pan widzi, zarzucił mnie aż na tę ciemną ulicę.

No i teraz proszę powiedzieć: co złego może mnie jeszcze spotkać.

Przełożył

JERZY PLEŚNIAROWICZ

ZDARZENIA TYGODNIA

Już przy innej okazji pisaliśmy o przygotowaniach do mającego się odbyć w nadchodzącym roku Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenek Żołnierskiej. Tym razem mamy do odnotowania kursokonferencję instruktorów i konsultantów muzycznych PDK, POIM i klubów fabrycznych oraz dyrygentów i zespołów śpiewających, zorganizowaną przez WDK, WZZ i Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewających i Instrumentalnych w ramach pomocy metodycznej. Podczas dwudniowych zajęć omówiono założenia organizacyjne i repertuarowe festiwalu oraz zagadnienia specjalistyczne, związane z przygotowaniem zespołów do eliminacji. I jeszcze jedna bardzo ważna informacja: organizatorzy zwracają się za naszym pośrednictwem do chórów, by zgłoszenia formularze znajdujących się w regulaminie przesyłać niezwłocznie do sekretariatu festiwalu, a sółści do końca stycznia do powołanych komitetów organizacyjnych, które istnieją przy wydziałach kultury przywódców PRN.

★

W związku ze zbliżającym się końcem roku Wojewódzka Komisja Związkowa Zawodowych zorganizowała, podobnie jak co roku, spotkanie związkowego aktyw kulturalno-oświatowego, poświęcone omówieniu głównych założeń do działalności w roku 1968.

W czasie spotkania podsumowano także współzawodnictwo bibliotek związkowych, ogłoszone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz CRZZ z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej pn: „Książka w służbie pokoju i socjalizmu”.

Mitym momentem, było wręczenie wyróżnionym z tej okazji bibliotekarzom nagród przyznanych przez WKZZ. Otrzymały je zespoły bibliotekarzy ZDK mieleckiej WSK (I miejsce), ZDK Zakładów Przemysłu Gumowego „Dębica” (II miejsce), oraz ZDK „Tapima” w Tarnobrzegu (III miejsce).

NA NASZYM EKRANIE VIRNA LISI

Nowy rok w naszej rubryce i nową — pięćdziesiątą pierwszą już — sylwetkę w naszym gwiazdzbiorze rozpoczynamy prezentacją młodej i ładnej kobiety, którą zobaczymy w styczniu na ekranie w znakomitej i mocno

„Uwiedzionej i porzuconej”, „Rozwodu po włosku”, „Pod niebem Sycylii”, a przede wszystkim „Drogi nadziei” — Pietro Germiego.

Do tej pory widzieliśmy niewiele filmów z Virną Lisi — „Bo haterka dnia”, „Zbrodnia doskonała”, „Czarny Tulipan” — i właściwie trudno jeszcze na ich podstawie mówić o jej talencie aktorskim. Jawiła nam się w nich jako początkująca gwiazdka ekranu, dziewczyna piękna, ale bez większych umiejętności i cech jakiejś osobowości aktorskiej. Niestety, także postać jaką gra w „Paniach i panach” jest dość schematyczna i oklepana — aktorka gra tu urodziwą, ale lekkomyślną i pustą kobietę, żonę starszego, ale bogatego lekarza. Zatem na objawienie talentu Virny przyjdzie nam jeszcze chyba poczekać, tymczasem zaś zapoznajmy się z jej filmową karierą.

Rozpoczęła ją, mając raptem 17 lat, w roku 1954. Popularny piosenkarz włoski zaproponował Virnę do obsadzenia jednej z ról w filmie Carlo Borghesio „La corda d'acciaio”. Dziewczyna zwróciła uwagę swoją urodą i odtąd szła od filmu do filmu. W ciągu 10 lat wystąpiła w 12 obrazach produkcji włoskiej i włosko-francuskiej. Zdobywa sobie dużą popularność wśród publiczności włoskiej, ale na arenie międzynarodowej nie miała jeszcze żadnych szans. Błyszczały tam gwiazdy Brigitte Bardot, Zofii Loren, takich jak Virna Lisi było mnóstwo.

Próbowali więc ją lansować Amerykanie. Hollywood stracił właśnie Marilyn Monroe i daremnie usiłował znaleźć następczynię na jej miejsce. Virna Lisi — to było coś właśnie w tym typie, więc zaproponowano jej kontrakt na 5 filmów realizowanych w USA. — „Nie mam ani kompleksów, ani biustu Marilyn Monroe, nie mówiąc już o jej ta-

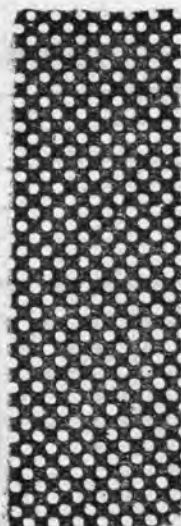
lencie” — powiedziała Virna, ale pokusa była zbyt silna, by zrezygnować z takiej szansy.

Pojechała więc do Hollywood, gdzie spędziła blisko 2 lata. Już po pierwszym filmie, w którym była partnerką znanego komika Jacka Lemmona, prasa amerykańska rozpisywała się „o nowej Monroe”. Zielonooka Włoszka z pofarbowanymi na blond włosami miała być zgodnie z umiejętnie podsycaną przez hollywoodzkich managerów propagandą — tą oczekiwaną, jedynie godną następczynią Marilyn.

Wylansowanie gwiazdy to proces długotrwały i bardzo kosztowny. W dodatku — nie zawsze udany, bo w końcu o wszystkim decyduje publiczność, która przy muje albo nie nową kandydatkę na bożyszcze ekranu. I choć prasa ilustrowana była przepelniona fotosami Virny Lisi, to przecież coraz rzadziej łączono jej nazwisko z nazwiskiem Monroe. Coraz rzadziej też pojawiały się przy nim takie określenia, jak „intrygujący talent”, „zapowiedź talentu” itp.

Nie obciąża to w niczym samej dziewczyny z Ankony. W Hollywood robiono już bezduszne lalki z najbardziej zdolnych i znanych w Europie aktorek, niektóre z nich dopiero po ucieczce z USA odnajdywały swój dawny talent, inne po nieudanych próbach na amerykańskim gruncie kończyły artystyczną karierę.

Co robi Virna Lisi? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że w roku 1966 powróciła do Włoch, gdzie wystąpiła m. in. we wspomnianym już filmie „Panowie i panie”. Prasa włoska informuje, że zaproponowano jej rolę w filmie „Miłości Celliniego”, w którym rolę słynnego rzeźbiarza i pamiętnikarza grał będzie Rod Steiger. A więc być może w tym roku jeszcze o niej usłyszymy.



Jak to było do przewidzenia świąteczny program telewizyjny oparto na materiale filmowym, do tego nie najwyższych lotów i nie najświeższej produkcji. To ostatnie co prawda stosuje się w telewizji z wyższej konieczności i od niej samej niezależnie; te pierwsze jednak można było sobie przemyśleć i świątecznego — zatem dobrego — coś dobrać. Nie dobrano, bo nie przemyślano. Odgrzano „Zonę dla Australijczyka”, odgrzano młodzieżową historię wyścigów na gokartach, Rudolfa Valentino i „Bonanzę”. W teatrze odgrzano „Miód kasztelański” Kraszewskiego, przeto zwiertzał i nawet Andrzej Łąpicki nie zaczął mówić na tyle, by odgrzewanym specjalnie się kontentować. A tak w ogóle — to raczej bez zmian: leciały sobie rzeczy raz gorsze, raz lepsze, w sumie dość nijakie, choć starannością doboru często pozytywnie grzeszące.

Na dobrą sprawę, gdy w poświęconej srode próbuję je bilansować, to okazuje się, że nabyt wiele ich w pamięci nie zatrzymałam. Trzy programy w każdym razie były na tyle inne od reszty, na tyle pomysłowo przygotowane, że z przyjemnością o nich pomówię raz jeszcze: pierwszy z nich — to „Pastorałka” Wojciecha Siemiona, drugi — „Hanka Ordonówna” Waldorffa, trzeci — świąteczny teleturniej „Jak wam się podoba” Serafinowicza.

„Pastorałka” sobotnia była pięknym przeglądem średnio-wiecznych i renesansowych pastorałek polskich, mówionych przez Siemiona — aktora i reżysera zarazem programu oraz grających i śpiewających przez zespół Fistulatores et Tubicinatores Varsoviensis — tym samym przeglądem najwyższych umiejętności muzyczno-wokalnych, wspartych wielością staropolskich instrumentów muzycznych. Piękny przegląd słowno-muzyczny sprofanowały jednak umiejętności techniczne przekaznika na Suchej Górze, przeto dostaliśmy rzecz pociętą, pokiereszowaną; telewizor parsknął, syczał, a naród zastuchany w staropolską kolędę w przerwach dłuższych niż to, co się działo za sprawą Siemiona i prześwietnych muzyków, kłął obrzydliwie i wcale niewybrednie. Oczywiście nikt nas nie przeprosił nawet, bo wszak to natu-

ralne, że świąteczny wypoczynek należy zacząć od zdenerwowania, a o rzeczach paskudnych — najlepiej milczeć...

Dużo więcej szczęścia miał Jerzy Waldorff. Mieszając sobie kocię ogony w przytulnym baroku, aczkolwiek na niewygodnym stolku, zonglował laseczką, nie-nagannie przybrany w czerni i wspominał, wspominał, wspominał. Było w tym sporo sentymentalnej zadumy nad czasami złotej młodości, trochę plotek od kuchni o hrabiach i legendarnych krawczyńcach oraz ogromnie dużo rzetelnego materiału dziennikarskiego o fenomenie piosenki międzywojennej, najbardziej tajemniczej kobiecie Warszawy, wszechstronnie utalentowanej, pięknej, fascynującej Ordonce. Waldorff wie, jak przyrządzić cocktail wspomnieniowy; Waldorff mówi, cieszy się słowem, bawi nim; z tym swoim zaśpiewem godnym partnerowania Eichlerównie podaje nam zdanie kragle, potoczyste, zawsze zamknięte pointą. Takie zdania podłożone pod wyblakłe fotki wielkiej divy dawały złudzenie zwolnionego filmu, w którym uroda, piosenka i wspomnienie tworzyły niemal dotykalne spotkanie z cieniem.

I wreszcie teleturniej — jak wam się podoba? Mnie bardzo. Nawet mimo dłużyzny, mimo naiwności, mimo niektóre nie najczystsze parodie. Bardzo — bo liczył się w nim pomysł, a pomysł był ciekawy — podsumowujący telewizję właśnie przez telewizję. Poza tym pomysł był pracowity, wymagał przygotowań, był realizowany z myślą o świętach, o rozrywce, o zabawie. I były momenty, że serdecznie się śmiałam z Tele-Ucha — nadzwyczaj udanej parodii popularnego programu, że bawił mnie sobowtór Kaliny Jędrusiak, Lecha Terpińskiego i paru innych znanych autorów telewizyjnych.

Mniej bawiły natomiast wypowiedzi trzech krytyków i wcale nie dlatego, że przez godzinę usiłowali robić to, co ja robię co tydzień na tym miejscu, ale dlatego, że robili to na ogół na zasadzie komplementów, uników oraz mało dowcipnie (a to był warunek sine qua non). Dlatego, że oceniali właśnie tak jak to w parodii „Giełdy piosenek” czynił chwalnie przedstawiciel domu kultury, zaczynając: Nie jestem żadnym znawcą, ale... Nie trzeba być żadnym znawcą, ale rozporządzać swobodą ocen przy udziale zdrowego rozsądku, by odebrać bezbłędnie co złe a co dobre. I cieszę się, że choć jeden spośród nich wyróżniał się i dowcipem, i koniecznym w tej pracy sceptycyzmem. Myślę naturalnie o autorze zgryźliwych „Wykrzykników” we Współczesności — red. Malcharku. Cóż tam z tego jednak, skoro wyczuć i umiar Malcharka pięciu sędziów dyscyplin sportowych wcale nie najwyższej oceniło? Nie znam się na boksie i sporcie w ogóle, ale zapytała mi chyba wypadła: jak nazywa się sędziogo na boisku, ringu, korcie, gdy niesprawiedliwie oceniał wysiłki naszego pupila. Wiecie? — Ja, oglądając niedzielny teleturniej też wiedziałam, ale taktownie milczę. Bo żadna krytyka negatywna nie popłaca, co nam udowodniono na przykładzie Malcharka nader dosadnie. KRYSZYNA



Dobrye zdjęcie z filmu

W tradycyjnej pozie hollywoodzkiej gwiazdy...

satyrycznej komedii włoskiej „Panie i panowie” zrealizowanej przez świetnego reżysera, autora

chem i w pierwszych czterech dniach ewentualnej wojny przy nieograniczonym zastosowaniu broni jądrowej, w ich wzajemnym powiązaniu i zależności merytorycznej”. Oby została tylko teoria.

LEOPOLD STAFF: Poezje zebrane. PIW. T. I/II. s. 1145+1033, cena obu tomów 120 zł. Wyd. II. Na pięknym papierze bibl. Chamois, w dziesiątą rocznicę śmierci zbiór twórczości znakomitego poety tworzącego na przełomie XIX i XX wieku. Związały żywo z życiem współczesnym towarzyszył wszystkim prądom literackim od modernizmu począwszy. Głównie liryka. Piękna forma utworów.

PAWEŁ JASIEŃC: Polska Jagiellonów. PIW. Wyd. III. T. I/II. s. 280+236. Cena obu tomów łącznie 20 zł. Bibl. Powszechna. Po „Polsce Plastów” ukazała się „Polska Jagiellonów”, która to pozycja znikła momentalnie z półek księgarskich. Może dopiero trzeci (50 000 egz.) wydanie zaspokoi czytelników i miłośników talentu tego znakomitego pisarza. Sam autor nazywa swój utwór esejem, czyli próbą, a w przenośni szkicem. Ale to chyba ze skromności.

HISTORIA POWSZECHNA, T. IV. Opracowana przez Akademię Nauk ZSRR. KiW. s. 931, cena 150 zł. Przedstawia okres od XVI do połowy XVII wieku. Niektóre rozdziały np. o odkryciach geograficznych sięgają nieco wcześniejszej epoki. Liczne ilustracje, mapy. Indeks.

ANDRZEJ WASILEWSKI: Paszport do Włoch. Iskry. s. 188, cena 10 zł. Autor pisze w przedmowie, że spędził we Włoszech trzy lata (był w naszej ambasadzie sekretarzem do spraw kulturalno-naukowych). Za dużo jak na reportaż, za mało jak na grubą książkę. Daje więc czytelnikowi obraz ułamkowy, ale za to syntetyczny i nie dość wycinkowy, ale za to klarowny. Po lekturze można potwierdzić słowa autora.

HENRYK MICHAŁSKI: Pierwsze 100 godzin wojny nuklearnej. MON. s. 476, cena 25 zł. Temat raczej mało znany szerszej grupie ludzi. Autor twierdzi, że „zasadniczym... celem pracy jest kompleksowy przegląd wybranych zagadnień politycznych, wojskowych i ekonomicznych na tle możliwych, następujących po sobie wydarzeń, na kilka dni przed wybu-



Nowa Monroe?

MARIA WISNIEWSKA, Marek Grott: Bądź zawsze zgrabny. Iskry, s. 172, cena 16 zł.

Sport. Wielu jest kibiców, wielu zaocznych miłośników. Wielu sobie obiecuje, że już od jutra rozpocznie regularną gimnastykę. Autorzy chcą w tym pomóc...

JAROSŁAW RUDNIAŃSKI: Umiejętność szkolenia. KiW. s. 128, cena 5 zł. Praca nosi podtytuł: Zarys metod aktywizacji. Ta pomocna dla pracy propagandowej pozycja składa się z dwóch części, zgodnie zresztą z zasadami współczesnej dydaktyki, omówienie metod aktywizacji wykładawcy oraz metod aktywizacji słuchaczy.

ANDRZEJ KURZ: Społeczna rola Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wyd. II. Popr. i rozsz., KiW. s. 146, cena 7 zł. Pozycja przeznaczona głównie dla uczniów klas wyższych, mieści się bowiem w Bibliotece Wychowania Obywatelskiego.

STANISŁAW MARCZAK — Oborski: Teatr czasów wojny. Polskie ży-

cie teatralne w latach II wojny światowej (1939—1945). PIW, s. 390, cena 40 zł. Autor prezentuje obozowe teatry żołnierskie na Wschodzie i Zachodzie. Przedstawia działalność Tajnej Rady Teatralnej, sceny okresu okupacji i powstania 1944 roku. Tworzenie się teatru we współczesnym kształcie w ostatnich latach wojny.

BIRUTA LEWASZKIEWICZ - PE-TRYKOWSKA: Odpowiedzialność cywilna prowadzącego na własny rachunek przedsiębiorstwo wprawiane w ruch za pomocą sił przyrody (art. 425 k. c.) Wyd. Prawna, s. 216, cena 25 zł.

TEATR NARODOWY. Pod red. Jana Kotta. Praca zbiorowa. PIW., s. 936, cena 150 zł.

Pięknie wydana księga zajmuje się Teatrem Narodowym w pierwszym okresie jego istnienia, tj. od chwili powstania do III rozbioru Polski. Omawia główne problemy teatru w dobie Oświecenia, zawiera kronikę.

**WYDZIAŁ
KSIĄŻKI**

FELIKS MAŁY: Tucz bekonowy i szynkowy. PWRiL. s. 128, cena 10 zł. W Bibliotece Rolnika Praktyka popularnie napisana praca omawiająca m. in. rodzaje żywności, metody tuczu rolniczego, technikę tuczu oraz zasady przygotowania gospodarstwa do tej działalności.

ANDRZEJ JAKIMOWICZ: Zachód a sztuka Wschodu. PWN. s. 149, cena 10 zł. Ten historyk sztuki nowoczesnej znany jest jako autor książki „Sztuka Indii”. W pozycji omawianej ukazuje przemiany stosunku Zachodu do sztuki Wschodu na przestrzeni minionych epok. Pokazuje wpływy sztuki wschodniej na europejską i odwrotnie. Ciekawe.

JERZY TEPICHT: Problemy teorii i strategii w kwestii rolnej. KiW. s. 265, cena 25 zł. O rolnictwie można nieskończenie i w rozmaitych sposobach. Autor na podstawie długoletnich obserwacji i badań zastanawia się nad perspektywami polskiej wsi. Z różnych pozycji i w różnych okresach. Nie jest to pozycja łatwa w czytaniu, ale na pewno pożyteczna dla zrozumienia wagi problemu.

HENRYK MICHAŁSKI: Pierwsze 100 godzin wojny nuklearnej. MON. s. 476, cena 25 zł. Temat raczej mało znany szerszej grupie ludzi. Autor twierdzi, że „zasadniczym... celem pracy jest kompleksowy przegląd wybranych zagadnień politycznych, wojskowych i ekonomicznych na tle możliwych, następujących po sobie wydarzeń, na kilka dni przed wybu-



Wchodzi pracownicy i działacze kultury, wnosząc ognisko, zasiadają wokół niego w pozach niedbałych.

RAZEM (śpiewają)

Kultura się
w Rzeszowie pnie
na coraz wyższe zręby.
O paniach się
nie mówi, że...
I trudno dostać w zęby.
I nawet stróż
zapomniał już
co psiakrew i cholera,
a górol też
łojcystych też
rękawem nie łobcieła.
Kultura, kultura,
Kultura, kultura,
kultura, kultura wsio.

DZIEWCZYNA (woła z płakiem)

On mnie podszczypuje!

ARTYSTA: To nie ja, to MUZA!

RAZEM (śpiewają)

Tu kilka muz
strufnęło już
z portfelem i z bagażem.
Tu twórca ma
intymny świat,
lecz liczy się z garażem...
Tu ekstra-bal,
a komu za!
za byłym takim synem,
ma książek deszcz,
a w każdej wieszczce
roztawia mu rodzinę!
Kultura, kultura,
kultura, kultura,
kultura, kultura wsio.

TRUBADUR (mówi, wskazując na siedzącą postać)

He! tam pod lasem
dyjament bliyscy.

Toć to Czajewski!
znamy go wszyscy.
Tu w budżet wainle:
tu mówke palnie,
rządzi nam sztucznie
choć kulturalnie.

(Czajewski wstaje, kłania się)

WSZYSCY: Aaaaaaaa....

(śpiewają)

Serwus, panie chieł
wśród egzekutyw
ty kulturę spinasz jak podwiązka.
emablujer ja
high life i bon ton
choć działacze o dotacje dżią.

CZAJEWSKI:
Rażno biega mój agregat,
śni się awans, lecz
ministerstwo nie dostrzega,
żem Władysław też.

WSZYSCY:
Serwus pan! W.
rządź nam i co tchu
reprezentuj, bo my du-du.

CZAJEWSKI:
Chociaż w prasie kram,
ja biologię znam,
więc odróżniłem kaczkę od kaczora.
W którym rządzie śląc,
gdzie kapeluszek zdając,
te zalety ma się, bądź co bądź.

RAZEM:
Wiem, gdzie budżet, a gdzie iacja,
nawet wiem i to,
że w bożnicy konfrontacje
a nie na MO.

CZAJEWSKI:
Wiem do których drzwi,
gdzie ukleknąć, i
w tym sukcesów tajemnica tkwi.

CIASTON:

(wstaje i mówi)
Za to tutaj „Estrada”
bomby zakłada!

TURSKA:

Weź się Jakub do tego

CIASTON:

I zbaw nas ode złego. Amen,

(śpiewa)

Pisze Kuba do Jakuba,
co to on nie zdziałe
Jak się uda, zrobi cuda
kompanija cała. Jako spec od wyznaczeń
jednak ma dylemat:
co pokaże na „Estradzie”
kiedy cudów nie ma.

RAZEM (śpiewają)

A Kuba się troska
że nie ma ni wtoska
na smyku
Budżet kombinuje
grajków angażuje
do śmichu
do śmichu
Jak Kuba
zaczął grać od ucha,
to urwał rękaw od kożucha
na sobie
na sobie
A niech cię
dunder świśnie. Raty!
Lepsze już
stuty i fiolety
w Rzeszowie
w Rzeszowie

TURSKA (mówi do Ciastonia):

Wszystko ci wydzia
na stołcu dyr-a
gdy cię podpira
Turska Elwira.

(śpiewa na mel. 24)

Teatr w palcu mam od A do D,
scenę ama — Turską sil vous plait,
Nieustannie sobie
reżyserie kropie.
Primadonne nawet
z deski zrobię.
Dam „Estradzie” radę, albo dwie
zrobię wam paplery variete
A jak nie poradzę
szefa i „Estradę”
do Trabanta wsadzę
i adieu!

(Na starcie szum, wrzawa, odgłosy „Sto lat”, trubadur wychodzi na przód estrady i zwraca się poufale do publiczności)

TRUBADUR: (mówi)

Klub związków twórczych

(na przód estrady wchodzi grupka twórców)

TWORCY: (śpiewają)

Poglądają chłopcy
Kędy ona gwiazda
Hej, co to po bożnicy
wernisażem chlasta?
Hej, nie ma Kotowi za,
przyszedł nowy gazda
Malarze naturę
tam studują hożą
Oj, seans się zaczyna
Czuje wolę bożą,
na stole butelczyna,
tworzą, jak otworzą.
Jak się siedzi w kupce,
to się myśli sporzej,
Hej, wymyślił twórcę
żeby Klub założyć
hej, co by w słodkiej dziurze
mogli se barłozyc.
Raz podbarłozili
potem się roześli
hej, wiatru narobili
zapomnieli reszty,
hej, inicjatywo
kanes ty, kanes ty.
Hej!

Literackie pokłosie

(dokończenie ze strony 5)

odepchnął. Tam obcy Łódźak, tutaj służący. Tam kordon, tutaj stokroć okrutniejszy polski zakaz. Często tędy prowadziła ścieżka, zdeptała ją tęsknota połączona z miłością. Tylko wybrani korzystali ze zbiorów, opatrzeni tytułem „hr” lub „ks”. Gdy ktoś z szarego tłumu pracowników umysłowych chciał zwiedzić, była jedna odpowiedź: „Jasnie pani ma klucze”. „Nie wolno zwiedzać — chyba ukradkiem — gdy jasnie państwo wyjadą na święta”. Gdy kto chciał pożyczyc druk do pracy naukowej, albo zupełnie nie odpowiadano na listy, albo też gdy dołączano znaczek, miano stereotypowa odpowiedź: książka zaginęła, trudno ją odnaleźć. „Nie wolno — wstęp wzbroniony” (...) wstęp do pańskich zbiorów miał tylko obcy agent, przekupień i handlarz (...) Dolar miał największą władzę i przed tą wszechwładną mocą w pokłosie czolobitnym zginęła się dumą karków i nieprzystępność magnacka, ciasna i pusta. A polski tłum — raz tylko otrzymał pozwolenie (...) Pożar spalił zakaz. Ci, którzy nigdy nie mieli dostępu, owo „pospółstwo” i wzgardzone „chamy”, rzucili się do ratowania dobytku kulturalnego i mienia narodu. Nie znali właściciela, ale widzieli dorobek polski wieków — chlubę i dumę. To trzeba zapamiętać”.

Ironiczny sarkazm artykułu Wiktora, ubrany w patos młodepolskiej prozy dał pisarzowi asumpt do sformułowania postulatów, który by

na przyszłość miał zapobiec podobnym tragediom: mianowicie upaństwowienia prywatnych bibliotek naukowych i zbiorów sztuki, choćby idąc „za przykładem przeklinanego Eunaczarskiego”. W proletariackich bohaterach pożaru dzikowskiego ujrzał pisarz przejaw romantyzmu nowej klasy, która swym czynem zrehabilitowała opinię. Jaka obciążał ją rok 1846.

Artykuł swój Wiktor zakończył apelem o uwiecznienie bohater- skich czynów ludzi, którzy oddali swoje życie w pożarze dzikowskim: „Z zapomnienia należy wydobyc szaleństwo i nazwiska dzieci proletariatu...”

Na realizację apelu publicysty niedługo trzeba było czekać. W niecały rok po tragedii dzikowskiej, w jesieni 1928 roku zjawili się tu Marian Piechał, poeta łódzkiego proletariatu, który jakby świadomie podejmował wątek myślowy artykułu J. Wiktora i bohaterem dzikowskim poświęcił wydany w roku 1932 poemat pt. „Garść popiołu”. Temat ten jednak musiał autora nurtować już od chwili powrotu rezydencji Tarnowskich, skoro w powstałym jeszcze w roku 1928 komentarzu do poprzedniego tomiku swoich poezji „Elegie całopalne” wspominał o utworze osnutym wokół pożaru dzikowskiego który usunął ze względu, że „zachowywał się anarchicznie i niesfornie”.

Na „Garść popiołu” złożyło się trzynastę elegii, w których poeta złożył hołd poległym w pożarze

dzikowskim bohaterom: Józefowi i Grzegorzowi Gilom, rzemieślnikom z Dzikowa, Władysławowi i Bronisławowi Wiątkom, czeladnikiem z Dzikowa, Wojciechowi Skibie, właścicielowi z Dzikowa, Aleksandrowi Pomykalskiemu, rzemieślnikowi z Tarnowa, Janowi

Mastalerczykowi, uczniowi gimnazjalnemu z Dzikowa, Janinie Koczerównie z Bliżczyna, uczniocy seminarium nauczycielskiego w Tarnobrzegu i Aleksandrowi Freyerowi, lekkoatlecie. Syntezę niejako poszczególnych ogniw poematu stanowi elegia XII:

Tyle lat, tyle wieków cierpieli darmo,
Zarastani kępami trawy cementarnianej.
Dzień w waszej niedoli księgi nie ogarną,
grobami wszystkich czasów w ziemi drukowane.
Od trójpotu nieżywi, od trudu umarli;
tyleście w życiu znieśli, cierpieli tak bardzo.
Dzieła rąk waszych dzisiaj się wyparli
i męką żyją w ogniu, i ofiarą gardzą.
Za taką cierpień sumę, krwi spalonej cenę
w mogile krzyż w kopali z drewna wystrugany,
myśleli, że nam lekką uczynili ziemię,
z wieńcami róż żelaznych i laurów blaszanych.
Teraz deszcze i ludzie, i zwierzęta depczą
po czaszkach przepalonych, piszczelach i żebrach.
Spód ziemi przywalonej głuchą niepamięcią
robactwo słycać w kościach i w trumiennych drewnach.
Tylko w truchło, w zgniliznę, w grób wejść,
korzenie roślin, chcącym przepędzone głodem
i oczu wasze zżarte, usta wasze zgniłe
kwiatami się co roku otworzą nad grobem...

W „Przedmowie” do „Garści popiołu” powtarzał Piechał za Wiktorem oskarżenia Tarnowskich za marnotrawienie w swych zbiorach skarbow dorobku kulturalnego narodu polskiego, silniej jednak dla celów historyzoficznej interpretacji akcentując czyny dzikowskich bohaterów: „Od hańby jednak ostatecznego wysprzedania i zgnicia — pisał — uratował zbioru dzikowskie ognie. Wtedy wynosić zeń tlejące szczytki rzucili się ci, którzy jedyni spośród tam obecnych poczuli się sukcesorami tych skarbow, choć bynajmniej nie na zasadzie pisanego prawa. Za pot zgiętego całego życia grzebiętu, za trud splekanych do krwi czarnych rak chłopów pań szczyżnianych z Dzikowa i okolic

gromadził się w ciągu wieków ten skarb kultury na zamku Tarnowskich. Słusznie więc tłum miał go bronić jako rzeczy własnej.

Ta historiozofia „Garści popiołu” o przejmowaniu dziedzictwa kulturalnego przez proletariatu i chłopów nie droga rewolucji, lecz z przebaczeniem za krzywdy i ucisk wiekowy, stanowi ideową os podematu, która widoczna jest nawet w jego motcie wziętym z Wyspiańskiego: „Może wyrobnik, dziewczka bosa...” w tym wątku historiozofii „Garści popiołu” pobrzmiewają wyraźne echa solidaryzmu narodowego przejęte z twórczości Stefana Żeromskiego i Jana Kaspro- wicza.